

Małgorzata
Gutowska-Adamczyk

*Fortuna
i namiętności*

TOM I

KLĄTWA

Nasza Księgarnia

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2015
Text © copyright by Małgorzata Gutowska-Adamczyk 2015

Projekt okładki *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*

Grafika na okładce *black gear Paweł Zaręba*

Zdjęcia na okładce:

© andreyutzu/freeimages.com

© djeewater/freeimages.com

Konsultacja historyczna *Paweł Tyska*

*Fortuna cię zmiennicza zawsze poniewiera,
Co jedną ręką daje, to drugą wydziera.*

SENEKA*

Wojtkowi

* Tłum. ks. Dawid Pilchowski.



Dziewka przyznała się do wszystkich guseł i czarów, choć nawet specjalnie się nie wysilał. Zresztą nie było jeszcze nikogo, kto zniósłby tortury mistrza sprawiedliwości. Brali winę na siebie, nie mając niczego na sumieniu, byle szybciej umrzeć, byle już nie cierpieć. Dodawali szczegółów i wymieniali pomocników w zbrodnicznym rzemiośle, wystarczało jedynie dobrze za język pociągnąć lub podłożyć ogień pod pachy...

Strzyknął z nosa smarkiem, chcąc uciec od natrętnych myśli, bo po raz pierwszy poczuł słabość. Żal mu się jej zrobiło. Młoda była i ładna. Nawet gdy długi warkocz koloru pszenicy spadł na brudną podłogę, wciąż jeszcze robiły na nim wrażenie jej duże usta, wąska kibić, jędrne piersi, skóra niczym alabaster. Niewiele zasłaniał poszarpany, obszyty szkaplerzami i świętymi obrazkami worek, którym ją baby okryły, żeby nie mogła już nikomu szkodzić. Patrząc na nią, czuł pulsowanie w kroczu. Miała szesnaście lat. Czarownica czy nie, zdałaby się na żonę, skoro żadna inna nie chciała z dobrej woli katowską jej-nością zostać. Trafiała się fortunna okazja, bo samotne życie całkiem mu już obrzydło.

Narażając się na sto batów kary, pozorował męczarnie, ale darła się jak ze skóry obdzierana. W jej oczach czaił się lęk. Wiedziała, co ją czeka. Pogodziła się już z nieuchronnym i chciała tylko szybko umrzeć. Dlaczego akurat to jej strach tak na niego działał – rozmyślał, wierząc się nocą w brudnym barłogu i tarmosząc przyrodzenie, póki nie doznał ulgi. Nie, na pewno była niewinna, wystarczyło jedno spojrzenie. Nie miała w sobie ani krzty hardości, chociaż mogła nią zgrzeszyć wobec kasztelana, znany to lubieżnik. Duma to cała jej wina. Teraz za to zapłaci. Panowie nie wybaczą takich zniewag. Przysłani przez niego oskarżyciele nalegali na wyrok, bo służyli panu na Turowie, zwykła to rzecz. Sąd wójtowski uznał ich argumenty. Mało to niewinnych pozbawił życia?

Zresztą winna czy nie, nie miało znaczenia, skoro postanowił ją uratować. „Uratować” – nie znaczy puścić wolno. Pragnąc jej całym sobą, zlekceważył niebezpieczeństwo zadawania się z czarownicą. A nienawiść i strach wobec czarownic przewyższały te, które ludzie czuli wobec katów. Nie zważał też na gniew i przyszłą zemstę kasztelana, chciał mieć dziewczkę tylko dla siebie. Myśl o niej tak go opętała, że gotów był zaryzykować. Raz czy drugi wzdygnął się z obawy. A jeśli naprawdę jest czarownicą? Jaki los go spotka, gdy będzie próbowała na nim swoich mocy? Jednak ze wzgardą odrzucał te lęki, rojąc o jej gorących udach, słodkich ustach i miękkich dłoniach. Ten obraz dodawał mu wigoru. Kiedy się przyznała i sąd skazał ją na śmierć, była już zależna tylko od jego dobrej woli.

Czule przesunął dłonią po głównej miecza i uważnie przyjrzał się wyrytemu na niej zakłęciu:

*Ileż miecz swój do góry wznoszę
O życie wieczne dla grzesznika proszę.*

Odczytywane w przededniu każdej egzekucji, znał je na pamięć. Powtarzał sentencję, potem następowała krótka, nieuważna modlitwa. Nie myślał o ludziach, którym odbierał życie, tak jak nie myślał o cierpieniach zarzynanej na świąteczny obiad kury. Wszakże jest tylko ręką sprawiedliwości, która już się dokonała. Na ogół nie myślał, czy byli za młodzi, żeby umierać, winni czy też nie. To nie należało do niego. Przeciął nić żywota kilku skazanym i nigdy nie czuł się winien. Ważniejsze, czy robota została dobrze wykonana.

„Co żyje, musi umrzeć” – powtarzał, choć sam był na razie wyjątkiem od tej reguły. Kiedyś, zaplątany w sprawę morderstwa, uniknął stryczka, wyzwolony przez pewnego kata. Z początku służył mu jako pomocnik, potem awansował na hycla, wreszcie wysłali go do Biecza, aby zgłębiał rzemiosło. Wrócił po wyzwolinach, aby podziękować, i ruszył w poszukiwaniu zajęcia. Tak został mistrzem sprawiedliwości na dwa miasta: Winnicę i Skrzeczewice. Jest tu szanowaną personą, urzędnikiem o solidnych dochodach. Po parę talarów bitych dostaje za tortury, za każde ścięcie, spalenie, wieszanie. Odzienie i sznury po powieszonych znajdują wielu chętnych – są trzymane po domach lub noszone na piersiach jako amulety. Kasa miejska płaci mu osobno za przecinanie wrzodów, osobno, gdy usuwa z miasta padlinę czy wyłapuje bezpańskie psy albo grzebie samobójców. Jako kat ma też pieczę nad skrzeczewickim domem uciech. I choć bywa tam regularnie, coraz częściej doskwiera mu samotność. Pora już założyć rodzinę. Gdyby uprawiał jakiekolwiek inne rzemiosło, już dawno posłałby swaty do jakiejś godnej rodziny. Jednak musi sobie radzić inaczej.

Wieść o egzekucji rozeszła się niczym zaraza. Mroźna pogoda nie odstraszyła ciekawskich. Na rynku zebrał się niemały tłumek mieszczan i chłopów. Szylnik wyszedł przed gospodę, Żydzi zostawili warsztaty, a bractwo z klasztoru karmelitów dostali dyspensę od południowych modlitw. Między rozprawiającymi dorosłymi płątała się głośna, spragniona uciech dzieciarnia. Pokazywali sobie kata, zapewne podziwiając jego nowy karmazynowy kubrak i piękny czarny kapelusz z kogucimi piórami. Objął ich wszystkich wzrokiem, myśląc z satysfakcją, że o tym, co tu dziś zobaczą, będą bąbać przez długie lata.

Chcąc na zawsze utrwalić sobie ów obraz, omiotł spojrzeniem wieżę kościoła, przeniósł wzrok na dachy chałup, na odległą ścianę puszczy i gościniec wiodący do Turowa, którym pędził właśnie w kierunku Winnicy konny jeździec, i odległą ścianę puszczy winnickiej. Powietrze było przejrzyste, mróz ściał błoto, zalegające rynek śmieci przykrył śnieg, lśniący i jarzący się niczym drogim kamieniem. Nagle ludzie ucichli. Z budzącą grozą łysą czaszką, w poszarpanym worku, boso dziewczyna szła ku przygotowanemu stosowi. Jakby nie wiedziała, co się dzieje wokół, obojętna wobec złych i ciekawskich spojrzeń. Mętny wzrok wbiła w ziemię. Nie było w nim lęku, raczej obojętność, a może pogarda? Kat obserwował każdy krok czarownicy, ciesząc się w duszy ze swego postanowienia. Zrobi jej niespodziankę, a w nocy posiadzie po sutoj kolacji, na którą każe przynieść z karczmy pieczoną kiełbasę. Będzie odtąd panią. Otarł dłonie o rękaw swego najlepszego kubraka i rozejrzał się raz jeszcze.

Samotny jeździec dotarł już do rynku. Dopiero teraz kat poznał w nim podstarościgo winnickiego. Ów wstrzymał na moment konia i rozejrzał się bacznie, lustrując zbiegowisko. Jednak jakby nieciekaw tego, co przywiodło

tu innych, ruszył zaraz, kierując się na Gród Orłowy. Miał wieżę i znów rynek winnicki spowiła cisza. Ludzie stali w bezruchu. Może czekali na złego, który przyleci i porwie swą kochanicę, w ostatniej chwili ratując ją od zguby? Kat wiedział, że bies nie przyleci, bo stos dziś nie zapłonie. Widzowie się rozczarują. Takie rzeczy zbyt często się w Winnicy nie zdarzały. Nie za jego katostwa. To będzie pierwsze wyzwolenie. Pisarz utrwali je pewnie w miejskich księgach sądowych na wieczną pamiątkę: „Sąd niniejszy wójtowski winnicki, stosując się do prawa magdeburgskiego konstytucjami koronnymi obwarowanego, dekretem swoim skazał na śmierć Klementynę Furtak, aby na stosie drew jako czarownica spalona była, aliści pomieniona uwolnioną od mistrza sprawiedliwości została, co niniejszym wiadomym czynimy i oną od spalenia uwalniamy”.

Doprowadzona przez pomocnika dziewczyna, ślaniając się na nogach, stanęła obok sterty chrustu. Oczekujący momentu kazi ksiądz zapytał z obowiązku:

– Na Boga w niebiesiech jedyne, azali odpuszczasz ludziom ich grzechy?

A ona syknęła tylko przez zęby:

– Idź precz!

Bojąc się, że zgromadzeni usłyszą drżenie jego głosu, kat wciągnął głęboko mroźne powietrze. Starał się mówić głośno i wyraźnie, tak aby wszyscy usłyszeli i byli mu świadkami:

– Klementyno Furtak, uwalniam cię od stosu!

Nie zareagowała. Nawet nie spojrzała na swego wybawiciela!

– Uwalniam cię od śmierci, zostań moją żoną! – oznajmił uroczyście, chcąc upewnić się, że zrozumiała, nierad, że musi dwa razy powtarzać, jakby prosił o jakąś łaskę.

Tłum westchnął i zafalował. Wszystkie oczy patrzyły na skazaną. Sami nie wiedząc, czy żałować egzekucji, która nie nastąpi, czy też cieszyć się z niespodziewanego finału, mieszkańcy miasteczka wstrzymali oddechy. Może czekali na dziękczynny pocałunek?

Jakby nie dosłyszała, dziewczyna jednak weszła na stos. Powiodła po zebranych niewidzącym wzrokiem, na nikim nie zatrzymawszy spojrzenia, coś tam jeszcze zamruczała pod nosem i niemal natychmiast rzuciła z wyższością:

– Kacie, czyń swą powinność!

Mistrz sprawiedliwości szczerwieniał, jakby mu kto napluł w twarz. Ta dziewczka woli śmierć niż wyzwolenie i małżeństwo, które jej ofiarował?! Głuchy pomruk przeszedł przez ciżbę. Niektórzy zaczęli się podśmiewać i pokazywać go sobie palcami. Wzgardzony i wyszydzony – tak się kończą niewczesne amory! Taki jest finał, kiedy kto chce być dobry dla innych!

– Dajcie ogień! – krzyknął zachrypniętym głosem.

Stojący obok hycel podał mu zapaloną pochodnię. Przykładając płomień do stosu, kat plunął czarownicy pod nogi. Pogarda dziewczki paliła mocniej niż płomienie, które podchodziły już pod jej stopy. Jeszcze nie krzyczała, ale zaraz zacznie. Obejmując stos nienawistnym spojrzeniem, kat cisnął pochodnię. Odwrócił się na pięcie, jeszcze raz splunął i odszedł.

– Bogu niech będą dzięki! – westchnęli braciszkwowie z klasztoru karmelitów, skwapliwie się przeżegnawszy.



Gęste lasy, zwane puszczą winnicką, leżące między Lichosielcami na wschodzie a Turowem na zachodzie i zamykające od południa perspektywę miasta Winnicy, ciągnąc się aż ku Skrzeczewicom, były w owych czasach jedynie cieniem nieprzebytych borów, które tu niegdyś rosły. Palone na popiół, ścinane na bale, gdy tylko lody skuwające rzekę Winnicę pękały, pełnymi skutami wysyłano ku Bugowi i dalej Wisłą aż do Gdańska. Na powstałych polanach z rzadka rozsiadały się nowe sioła, przeważnie bartników i smolarzy. Podróżni bali się lasów, bo z braku dróg, poza jedynym traktem do Turowa, łatwo było pogrążyć. Rozlewiska i zdradliwe bagna wielu już wędrowców pozbawiły życia. Wciąż trafiało się też myśliwym złować tu grubego zwierza, co prawda nie żubra czy niedźwiedzia, ale łosia, a wilcze watahy ożywiały się zimą, podchodząc blisko wsi i siejąc postrach.

Jednak bardziej niż zwierząt obawiano się zbójców. Ci podobno kryli się głęboko w borze, tam gdzie nikt się bez potrzeby nie zapuszczał. Powiadano, że składali swe łupy w wydrążonych pniach odwiecznych dębów. Trzy-

mani w ryzach przez kasztelana, który dla zaprowadzenia porządku na trakcie coraz to wysyłał przeciwko nim swą chorągiew, zazwyczaj zadowalali się kosztownościami lub gotowizną, pobierając myto na moście winnickim. Ich przywódca, Bartek Rabiński, na którego już pewnie gdzieś niecierpliwie czekał sznur ukręcony przez skrzeczewickich powroźników, hasał sobie po karczmach, używając wolności, rżnąc w mariasza*, porzucając brzuchacjące za jego przyczyną dziewczki i kpiąc z prawa, nakazującego staroście winnickiemu przestępców okolicznych chwycić i wieszać.

Osobliwy to był zbójca. Niegdyś ponoć sposobiący się na jurystę, trudno dociec, czy za mądry, czy zbyt głupi do trybunału, dość, że miejsca tam nie zagrzał, ponad pocziwe życie szlachcica przedkładając złodziejskie rzemiosło. Igrał z niebezpieczeństwem, licząc na własny spryt i przemyślność swoich ludzi, ale i tak wszyscy wiedzieli, że czas jego już w niebie policzony, bo wreszcie znajdzie się taki, co myta, choćby i niewielkiego, za przejazd przez most zapłacić nie zechce, Bartkowej bandy się nie przelęknie i albo go na miejscu ubije, albo do sądu zawlecze.

Na razie jednak Bartek miał się dobrze, a podróżujący do Turowa, aby minąć mostek na Winnicy, imali się różnych sposobów, z których najłatwiejszy był przygotować opłatę i gdy koło mostu kto huknął, w woreczku przed siebie rzucić. Czasami jakiś śmiałek zaciął konie i bez zatrzymania pędził dalej, na przemian klnąc, modląc się i truchlając, czy nie polecą ze świstem kulka i konia ugodziwszy, jeźdźca lokomocji nie pozbawi, zostawiając go na łasce i niełasce Rabińskiego. Nikt nie potrafił odgadnąć humorów zbójcy ani dni szczególnej zjadłości, ale dziś

* Gra w karty popularna w pierwszej połowie XVIII wieku.

liczne sanie przeprawiające się przez most były całkowicie bezpieczne. Żaden rozbójnik nie gwizdał zza skałek, nikt o okup nie wołał, rzecz dziwna i nieoczekiwana. Kasztelańscy goście chowali więc przygotowane zawczasu sakiewki i oddychali głęboko, co prędzej spiesząc ku zamkowi.

Samotny jeździec dotarł do mostku i minął go, nie rozglądając się, jakby nie wiedział lub lekceważył zagrożenie. Potem skręcił i ruszył w dół zamarzniętej rzeki. Pochylając głowę pod gałęziami i osypując z nich śnieg, kierował się na południe. Zatrzymawszy się dopiero obok niewielkiego wzniesienia, jakieś pół mili od mostu, zagwizdał przeciągle. Na ten dźwięk z oddali odezwał się podobny, dwukrotnie powtórzony. Konny ruszył i wkrótce zauważył, jak zza drzew ktoś wyjeżdża mu na spotkanie.

– A czego? – warknął olbrzymi brodac, ubrany w kurtkę z wilczego futra.

– Najpierw schowaj broń – bez lęku odpowiedział przybyły.

Był niższy, drobniejszy, w szlacheckim stroju, bystre oczy odważnie mierzyły przeciwnika.

– Schowam, kiedy odjedziesz. Po coś przybył?

– Może nie wiesz?

– Powiedz mu, że nic nie mam.

– Nie będzie kontent.

– Miałem mu gości ogołocić?! Taki z niego gospodarz?!

– Brodac poruszył się w siodle.

– Mówią, Rabiński, żeś rozbójnik, a ty mógłbyś w brzeskim kolegium dobre maniery wyklądać! – rzekł ze śmiechem przybyły. – Dawaj, co masz, bo pilno mi w drogę!

Zbójca zdjął z szyi woreczek i rzucił. Tamten złapał go w locie, wsadził za pazuchę i krzyknął:

– Uważaj, żeby ci na drugi raz ta litość kością w gardle nie stanęła! – Ściągnął cugle, zawrócił konia i nie żegnając się, ani nie zaprzatając sobie głowy pistoletem tkwiącym u Rabińskiego za pasem, przez kopny śnieg ruszył w drogę powrotną.

– Ty się kiedyś doigrasz, panie podstarości. Jeszcze ty poznasz Rabińskiego! – mruknął zbójca i strzelił w górę, podrywając do lotu zmarznęte stado wron.

Pierwsze sanie, w których jechał cześnik, raptownie stanęły. Przez uchylone drzwiczki nie bez trudu wygramolił się postawny mężczyzna, szukając wsparcia na ramieniu sługi. Chłopak zeskoczył z tylnej płozy, gotów służyć swemu panu.

– Ha! Słyszałeś?

– Tak jest, jaśnie panie, ktoś w lesie strzelił.

– Tak blisko zamku? Niepojęte! I nasz kasztelan to toleruje! Daj no konia!

Ani zdrowie, ani wiek, ani tusza nie pozwalały już Florianowi Żelskiemu podróżować wierzchem na długie dystanse, jednak ten ostatni odcinek drogi chciał przejechać w siodle, jak przystało wojskowemu i szlachcicowi. Nim podprowadzono gniadosza, cześnik baczynym okiem skontrolował cały tabor. Szczególnie uważnie spojrzał ku drugim saniom. Przykryte niedźwiedzim futrem, grzejąc nogi przy piecyku, siedziały tam jejmość i jejmościanka, jak uparcie wciąż nazywał swą córkę, mimo że była zamężna od długich siedmiu lat, z których dwa ostatnie spędziła we wdowieństwie.

– A co?! – zapytał z triumfem, zaglądając do wnętrza i wydmuchując kłęby pary spomiędzy gęstych wąsisk. – Cóżes ty, Zofio, taka markotna? Polanę zbójców bezpiecznie ominęliśmy, a ty masz minę, jakbyś zdążyła na po-

grzeb, nie na wesele. Smucisz się, choć po latach znów będziesz miała okazję pokłonić się swej dobrodziejce, pani kasztelanowej!

– Dzieci we dworze zostawiła, to i markotna! – skwapliwie usprawiedliwiała córkę cześnikowa.

– Nie martw się, same nie zostały! I nie wchodzi na zamek z takim licem, bo w przededniu wesela nie wypada! – fuknął Żelski, przy pomocy sługi dosiadł konia i spiąwszy go kolanami, ruszył przed siebie. Za nim pognało trzech hajduków przybranych w odświętny strój. Trzech innych, zostawszy z tyłu, pilnowało bezpieczeństwa niewiast, służby i skrzyń. Chwilę później woźnice zacięli konie i wszystkie sanie ruszyły, pobrzękując wesoło dzwonkami.

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: wnk@wnk.com.pl

Dział Handlowy
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@wnk.com.pl

www.wnk.com.pl

*Książkę wydrukowano na papierze
Ecco-Book Cream 60 g/m² wol. 2,0.*

Redaktor prowadzący *Anna Garbal*
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*
Redakcja *Anna Sidorek*
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Joanna Piotrowska*
Korekta *Zofia Kozik, Ewa Mościcka, Magda Szroeder*

ISBN 978-83-10-12616-0

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2015 r.
Wydanie pierwsze
Druk: POZKAL, Inowrocław